

którą znali z internetu i radia niż cały krążek. Niewykluczone, że gdyby go kupili i przesłuchali kilka razy, znaleźliby więcej wartościowych rzeczy, a nie tylko z miejsca wpadający w ucho hit. Wgłębianie się w album to jednak znów działanie charakterystyczne dla złotego wieku płyt; dziś już w znacznej mierze anachroniczne.

W głównym nurcie muzyki popularnej myślenie o albumie muzycznym jako całości wymagającej poznania odchodzi do historii. Zestawy ulubionych piosenek słuchacze konstruują sobie sami za pomocą kilku kliknięć.

Wydaje się, że „retro-trasy” powstają jako przeciwwaga dla tych tendencji. Wychodzą naprzeciw wszystkim wielbicielom dawnego sposobu percepcji muzyki popularnej. Tak stara szkoła popu może sobie radzić we współczesnym show businessie. Inna metoda to spróbować oswoić nowe zasady.

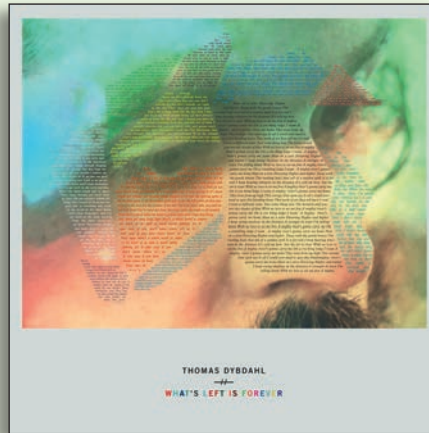
Tej strategii próbował, niestety z marnym skutkiem, Billy Corgan ze Smashing Pumpkins. W 2009 roku postanowił, że zamiast publikować gotową tradycyjną płytę, będzie za pośrednictwem internetu wypuszczał co jakiś czas pojedyncze piosenki stanowiące kolejne fragmenty projektu „Teargarden by Kaleidyscope”. Miał być to nowy rodzaj albumu muzycznego, w gruncie rzeczy: „albumu-bez-albumu”, który poznaje się piosenka po piosence, jeszcze zanim cały cykl zostanie skomponowany i nagrany w całości. Nowatorska idea nie spotkała się jednak ze zbyt dużym odzewem. Zespół stracił zapal do tej produkcji i w 2012 roku wydał standardowy krążek „Oceania”.

A wracając do „retro-tras”: ostatnie lata udowodniły, że potrafią one być niezwykle dochodowe i przyciągnąć uwagę licznej publiczności.

Pozostaje tylko pytanie, czy jest to wykorzystywanie tęsknoty słuchaczy za dawnymi nagraniami, czy też „retro-trasy” mogą nieść ze sobą dużą wartość artystyczną?

Roger Waters, wystawiając po 30 latach „The Wall”, opowiedział całą zawartą na płycie historię w nowy sposób. Zmienił jej kontekst za pomocą mniejszych i większych modyfikacji w scenografii. Uczynił też spektakl o wiele bardziej efektownym.

Aktualizacja dawnych płyt, napięcie między zmianami a utrzymaniem znanej formy piosenek w trakcie przedstawiania ich na nowo, pozwalają stworzyć nową wartość. „Retro-trasy” mogą więc być wartościowe artystycznie. Czy tak jest w przypadku wskrzeszonej płyty „So” Petera Gabriela? O tym przekonamy się już w połowie maja 2014. ❄



Thomas Dybdahl What's Left Is Forever

Micadventure 2013

Dystrybucja: Universal Music

Muzyka: ●●●●○
Realizacja: ●●●●○

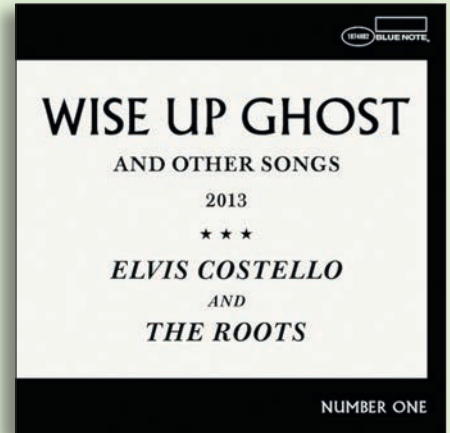
Jeśli ktoś oglądał film „Closer” i wciągnęły go ballady wykonywane przez Damiana Rice’a, z przyjemnością posłucha też tego zdolnego norweskiego wykonawcy. Nie twierdzą, że Thomas Dybdahl – bo o nim mowa – coś kopiuje. Przeciwnie, śpiewa własne, oryginalne piosenki, tyle że w klimacie, który mocno kojarzy się z twórczością irlandzkiego kolegi po fachu.

Dybdahl debiutował w roku 2000 (EP-ka z utworem „Bird”), a potem nagrał kilka albumów. Największym powodzeniem cieszył się „One Day You’ll Dance for Me, New York City” (2004). Po wydaniu „What’s Left Is Forever” ma szansę na międzynarodowy sukces.

Na płycie słyszymy sporo przyjemnych melodii. Może bez instrumentalnych fajerków, ale brzmiących jak należy. To taka wokalna muzyka na wieczory przy świecach. Na pierwszym planie mamy akustyczne gitary i delikatne perkusyjne ozdobniki. Słychać nawet organy Hammonda. Na singiel wybrano nieco żywsze nagranie „Man On A Wire”. Słusznie, bo wzbudza zainteresowanie i zachęca do posłuchania kolejnych utworów. A te są nawet lepsze od singlowego przeboju. Spokojniejsze i wysmakowane.

Dybdahl ma ciekawą barwę głosu. Miejskami śpiewa jakby szeptem, niekiedy falsetem. Wspomnianego Damiana Rice’a najbardziej przypomina w utworze „Shine”, świetnej piosence, zaaranżowanej wprawna ręką i fachowo zagranej. Z kolei w „City Lights” przenosimy się do amerykańskiego pop-folku w stylu Lee Hazlewooda i Dona McLeana. Warto posłuchać. ■

Grzegorz Walenda



Elvis Costello and the Roots Wise Up Ghost

Blue Note Records 2013

Dystrybucja: Universal Music

Muzyka: ●●●●●
Realizacja: ●●●●○

Za każdym razem, kiedy ukazuje się nowa płyta tego genialnego piosenkarza, zastanawiam się, dlaczego nie udało mu się doczekać w Polsce popularności zbliżonej do tej, którą cieszy się w innych krajach. Jego przebój śpiewali nawet Bill Murray i Scarlett Johansson w kinowym hicie „Między słowami”. No cóż, widocznie nie do każdego trafiają świetne teksty, które w dużej mierze decydują o jakości jego nagrań i pewnie nie każdy lubi wykonawców często zmieniających artystyczne oblicze.

Na tej płycie Costello znowu zaskakuje. Po genialnym albumie z Burtem Bacharachem i nieco mniej udanej współpracy z Allenem Toussaintem, mąż Diany Krall wszedł do studia z hip-hopową grupą The Roots, która rozpoczyna telewizyjny talk show „Late Night with Jimmy Fallon”. Członkowie zespołu zgadali się z piosenkarzem, kiedy był gościem w tym programie. Efekt ich współpracy okazał się elektryzujący.

Współautorem większości kompozycji na albumie jest perkusista, a zarazem lider The Roots, Ahmir „Questlove” Thompson. On, Costello i stały współpracownik grupy, Steven Mandel, odpowiadają też za produkcję płyty.

The Roots oraz orkiestra symfoniczna tworzą tu zgrabny podkład, a Elvis Costello gra na kilku instrumentach i śpiewa. Efekt tej współpracy w pierwszej chwili wydaje się niecodzienny i może nieco zdezorientować fanów, ale w miarę rozwoju albumu coraz bardziej zaciekawia. „Wise Up Ghost” to jedna z oryginalniejszych tegorocznych premier. ■

Grzegorz Walenda



Dr Misio Młodzi

Universal 2013

Muzyka: ●●●○○
Realizacja: ●●●○○

Dr Misio to Arkadiusz Jakubik – aktor znany m.in. z systematycznego pojawiania się w filmach Wojciecha Smarzowskiego. Tym razem pamiętny notariusz z „Wesela” występuje w roli wokalisty i lidera formacji rockowej.

Tekstów (w większości autorstwa Krzysztofa Vargi) nie okrasza wykwintnymi melodiami. W zasadzie sięga po dwa rozwiązania aranżacyjne, w zależności od tego, czy piosenka jest utrzymana w stylistyce alternatywnego rocka, czy cięższego brzmienia. W pierwszym przypadku ogranicza się do niezbyt wyszukanego śpiewu, zahaczającego niekiedy o recytację. W drugim: zdiera gardło, starając się nadać swojemu głosowi manierę heavymetalowego wokalisty.

Efekt nie jest nadzwyczajny, choć największym mankamentem płyty jest próba połączenia tych dwóch stylistyk. Obok siebie łądzą więc popowe chórki w refrenie „Mentolowych papierosów” i wściekle zawrodożenie w piosence „Pies” (swoją drogą słowa „Teraz chcę być twoim psem” powinny zawierać chyba przypis do twórczości Iggy Popa?).

Nie jest to fonograficzno-aktorski koszmarek na miarę muzycznej płyty Borysa Szyca. Jest tu kilka pomysłów, wpadających w ucho fragmentów (np. początek „Życia”) i zabawnych tekstów.

Jakubik i koledzy prawdopodobnie dobrze się bawią, grając swoją muzykę. Szczerze jednak wątpię, że zespół ten wybiłby się, gdyby nie grał w nim znany aktor. ■

Bartosz Szurik



Bon Jovi What About Now

Island 2013

Muzyka: ●●○○○
Realizacja: ●●●○○

Właściwie każda piosenka z dwunastego studyjnego krążka Bon Jovi mogłaby trafić na playlistę którejś z komercyjnych rockowych stacji radiowych. Wszystko wpada tu w ucho i pasuje do znanych od lat struktur i rozwiązań.

Chodzi zwłaszcza o rozpisane w charakterystycznych harmoniach refreny, które aż się proszą o wspólne odśpiewanie i wyklaskanie przez zebraną na koncercie publiczność. W stosowaniu tego rozwiązania Jon Bon Jovi i Richie Sambora nie mają sobie równych. Przed ćwierćwieczem wykorzystywali je w hitach pokroju „Livin’ on a Prayer”; na przełomie wieków w „It’s My Life”. Teraz – (nad)używają go od pierwszych sekund albumu „What About Now”.

Wypełnione przebojowymi refrenami radosne i skoczne piosenki są tak do siebie podobne, że trudno je odróżnić. Trochę urozmaicają album dwie rockowe ballady: „Amen” i „Thick as Thieves” oraz kończący płytę kameralny utwór „The Fighter”. Ale te trzy pozycje również opierają się na do bólu ogranych patentach, jak np. dodające patosu orkiestracje.

Bon Jovi może i serwuje niezłe piosenki, ale cóż z tego, skoro ich oczywistość odbiera frajdę słuchania. Wtórna i pozbawiona pazura płyta „What About Now” skłania do jednego: ponownego sięgnięcia po przyzwoity, solowy krążek Richiego Sambory z zeszłego roku: „Aftermath of the Lowdown”. ■

Bartosz Szurik



Myslovitz 1.577

Pomaton 2013

Muzyka: ●●○○○
Realizacja: ●●●○○

Biała okładka „1.577” mówi: jesteśmy jak niezapisana karta, zaczynamy z czystym kontem. Być może taka była intencja muzyków grupy Myslovitz, którym przyszło wydać pierwszą płytę nagrałą bez wieloletniego frontmana – Artura Rojka.

Niestety, z tym zadaniem zespół porządził sobie co najwyżej średnio. Rojek, jako wokalista o unikalnym stylu, miał decydujący wpływ na brzmienie Myslovitz. Bez niego liryczny charakter grupy gdzieś się zagubił.

Nie chodzi o to, że obecny wokalista, Michał Kowalonek (znany z interesującego poznańskiego zespołu Snowman), nie dysponuje odpowiednimi możliwościami; ma niezły, lekko zachrypnięty głos. Problem w tym, że dołączenie Kowalonka do składu nie popchnęło Myslovitz w żadnym konkretnym kierunku.

Muzycy szukają swojego miejsca między gitarowym a elektronicznym popem, bardzo wygładzonym i grzecznym. Sporo inspiracji czerpią oczywiście z twórczości grup z Wielkiej Brytanii. Otwierający krążek numer „Telefon” przywołuje na myśl dokonania Coldplay, a elektroniczny, syntezatorowy motyw z piosenki „Koniec lata” może się kojarzyć z „Madness” Muse... Tyle tylko, że numer Myslovitz nie rozwija się zbytnio, a po pięciu minutach ucicha bez żadnej konkluzji.

Podobnie bez rozwiązania przebrzmiewa cały album „1.577”. Kilka nieco psychodelicznych partii gitar i zabaw z dysonansem nie nadaje mu charakteru. A właśnie jego nowemu Myslovitz brakuje najbardziej. ■

Bartosz Szurik